

#### 4. Ryba wyszła z sieci III Kaskada - 1988

##### Strasznie klęli

W trzech Kaskadach mjr Arkadiusz Kups brał udział jako dowódca grupy specjalnej a jedną z użyciem jego plutonu specjalnego pływonurków, obsługiwał jako oficer kierunkowy. Zajmował się planowaniem użycia GS, zabezpieczał kontakty, przepływ informacji, pracował w Zespole Dowodzenia. Gdy była konieczność, jego obowiązkiem było wtopienie się w obszar działania, nawiązanie kontaktu... pełnił rolę anioła – stróża czuwającego nad grupami.

Trzecia i ostatnia zarazem Kaskada, była dla niego największym wyzwaniem tamtego czasu. Z wielu względów, głównie jednak dlatego, że tym razem nie wypadł z roli i nie „orał w polu z żołnierzami” ale działał jako oficer kierunkowy, odpowiadając za wszystko co się mogło z ludźmi wydarzyć. Wcześniej jednak, musiał tych nurków do nowej roli przygotować: - O ćwiczeniu podczas którego mieliśmy, współpracując z Formozą, działać z Bałtyku, dowiedzieliśmy się już w lutym. Nasze grupy specjalne nie wychodziły na bojowo z morza dziesięć lat albo i dłużej. Na co dzień taplaliśmy się w poligonowych jeziorach i rzeczkach, i nawet starzy pływonurkowie nie pamiętali przypadku takiego działania. Już na starcie szykowało się wiele problemów, nikt bowiem wówczas w wojskach lądowych nie posiadał odpowiedniego doświadczenia, nie mieliśmy też programu ani instrukcji użycia grup specjalnych pływonurków po desantowaniu w odległości kilku kilometrów od brzegu. Jedyne dostępne źródło wiedzy stanowiły filmy sensacyjno – wojenne. Nadto, jak to w wojsku, obowiązujące przepisy nakazywały stosowanie rozlicznych zabezpieczeń, praktycznie uniemożliwiając jakiegokolwiek niekonwencjonalne działania. Promyk nadziei na pomyślność przedsięwzięcia stanowiła współpraca z ze znaną nam już wcześniej ze wspólnych skoków spadochronowych i prywatnie zaprzyjaźnioną Fromozą, czyli zespołem pływonurków bojowych Marynarki Wojennej.

O połączeniu sił zdecydowali ppłk. Jan Kempara z kmdr. Henrykiem Szczepanikiem. Wodzowie zawarli umowę, ustalili reguły gry i zagotowało się. Wsiadaliśmy w Szczecinie w pociąg, jechaliśmy do Gdyni a tam morze, morze i morze... Cztery razy w tygodniu w wodzie, bez względu na warunki pogodowe. Na wejściu padało hasło: No to co, nurkujemy? Ubieraliśmy pianki, zbieraliśmy sprzęt, facet otwierał okno i skakaliśmy do morza z wysokości dziesięciu metrów.

Początkowo nasi szweje trochę się droczyli z marynarzami. Tamci służyli trzy lata więc mieli inaczej poukładaną „falę” ale w sumie paka sformowała się zajebista. Moim partnerem z Formozy był porucznik marynarki Włodek Adamczyk, nurek jakich mało i niesamowity pasjonat tej roboty. Przeżywaliśmy wówczas obustronny szok i wzajemną fascynację. Marynarzom brakowało doświadczenia w działaniach na lądzie a my byliśmy profesorami w zielonej taktyce. W zamian szkolili nas w „czarnej magii”, czyli rozpoznaniu i dywersji podwodnej. Sztukę minowania statków, urządzeń hydrotechnicznych, wejść do portów, elementów nabrzeża... mieli dopracowaną do perfekcji. A co najważniejsze, uczyli nas również nawigacji, pływania w zanurzeniu, w szyku i bojowego wychodzenia na brzeg, czego nigdy wcześniej nie robiliśmy.

Mjr Kups do dziś nie zapomniął jak wyglądało nurkowanie w plutonie, gdy przyszedł do kompanii. I nie ukrywa, że pierwszym efektem objęcia dowodzenia „płetwalami” była szybko rosnąca lista wrogów: - Musiałem nimi wstrząsnąć, bo nauczono ich, że są nieetatowym plutonem remontowym do brudnej roboty. Nieustannie gotowi i zawsze na ochotnika. Kto daje ludzi do pracy? Wiadomo, płetwy. I szweje brali się do łopaty a ich sierżanci w karty grali. Nawet gdy już szli do wody, przeważnie na zejście punktowe albo gdzieś po trzcinie za rybą, kadra wypisywała sobie jedynie godziny nurkowe do książki. Przecież byli mistrzami wszechświata, czego więcej mogli się nauczyć? Rozwaleni w słońcu na pomoście, wyglądali jeden z drugim jak tłuste kluski.

Do Kaskady, od lutego do lipca było pół roku, z pozoru mnóstwo czasu. Z pozoru... bo potrzeba było strasznej roboty, a przede wszystkim przełamania stereotypu płetwonurka, który rozpozna przeprawę na rzece, czy zaminuje nocą most... i jest wolny. Miesiącami siedzieli na Jaworzu i do obłędu tłukli dystans na jeziorze Trzebuń. Zanurzali się o 8.30, obiad jedli w piankach, żeby nie tracić czasu na wyszarpywanie się z cholernych stomilowskich „Neptunów”. Po pół godzinie sjeisty z powrotem do wody. Setki przepłyniętych kilometrów, katowanie ludzi w sprzęcie ABC i ogromna presja, gdyż nie wchodziło w grę by ta operacja mogła się nie udać. Wyciągali się w oczach, chor. Paweł Wyrwał stracił w tym czasie kilkanaście kilogramów.

- Jak ci szweje strasznie kleli, gdy robiliśmy z nich płetwonurków – wspomina Kups – Zgodnie z instrukcją mogli pływać do czterech godzin na dobę a my im aplikowaliśmy po sześć, nawet do ośmiu. Gdyby dziś ktoś tak zrobił... Żegnaj armio!

Swoim uporem i konsekwencją zdobył wówczas uznanie ppłk. Jana Kempary: - Przygotowanie akcji prowadzonej przez Arka było wielomiesięczną, morderczą robotą. Aby płetwonurkowie wyszli z okrętu podwodnego i przepłynęli grupami kilka kilometrów, musieli pływać po kilkanaście. Brzeg niewidoczny, ciemno, fala nimi buja, poczucie zagubienia... Bałtyk, to nie jezioro, gdzie w każdej chwili można wyjść na brzeg.

Podczas morskiej Kaskady por. Kups, jako oficer kierunkowy nie brał czynnego udziału w działaniach, ale na brak mocnych wrażeń nie narzekał od początku. Odpowiadał za trzy grupy, za osiemnastu ludzi, na których losy od chwili zapakowania do samolotu nie miał wpływu. Między seansami łączności radiowej oraz kontaktem osobowym podczas desantowania na Bałtyku, mógł jedynie zanosić gorące modły i wróżyć z fusów.

### Ściganci wiedzieli

Kaskada, diabli wiedzą dlaczego, rozpoczęła się 22 lipca i mało kto wie, że o mały włos zostałyby w ostatniej chwili odwołana. Wspomina tamte chwile generał Kempa: - Wcale nie trzeba było wchodzić z nimi do akcji, żeby człowiekowi psycha siadła. Jesteśmy już na miejscu, wszystko rusza a ja dostaję komendę: Stop! Szef uznał nagle, że ryzyko go przerasta. Pomyślałem o katorżniczej, półrocznej robocie tych ludzi... I odpowiedziałem, że nie ma w tej chwili możliwości zatrzymania działań, bo rozkazy poszły a łączności z nimi nie mam. Kazał więc telefonować do domu o każdej porze dnia i nocy, jak tylko wylądują na brzegu. A potem, gdy o Kaskadzie zrobiło się głośno w POW, dopisał się jako ojciec chrzestny przedsięwzięcia. Przedyskutowaliśmy jeszcze raz sytuację z dowództwem kompanii, z Romkiem Jasińskim, Romkiem Żołnowskim, Marianem Andrysiakiem... I poszło!!!

Wczesnym świtem z lotniska w Mirosławcu wystartował An-26 z sześcioma grupami specjalnymi na pokładzie. Zrezygnowaliśmy wówczas całkowicie z granatników i broni wsparcia, czyli rgppanc-7, rpg-Komar, 40 mm Pallad i 7.62 rpks. Podstawowym wyposażeniem były 7,62 kbk AKMS, 9 mm Pm-63 RAK oraz broń krótka. Desantowanie na spadochronach D-5 z bronią i podwieszonymi na linach zasobnikami, do tego z lądowaniem w terenie przygodnym i tak było loterią. Grupy musiały namierzyć swoje ZT-100, rozczłonować je i doładować każdemu z ludzi po kilkanaście kilogramów na plecy. Następnie zniknąć z całym majdanem, zanim na zrzutowisku pojawią się nieproszeni goście. W okolicy Starogardu Gdańskiego samolot zniżył lot do 600 metrów i wszedł na kurs bojowy. Sygnał, bieg po rampie, chwila lotu, łopot szmat, ziemia pod nogami... Tak zwane stałe fragmenty gry.

Po przyziemieniu i pozbieraniu zasobników, kolejno wykonywały szybki, kilkukilometrowy odskok. W bezpiecznym miejscu ukrywali to co nie potrzebne, łącznie z mundurami, po czym radiotelegrafisci wysyłali do centrali meldunek: „Ryba wyszła z sieci”. Pomimo podwójnego szyfrowania, tak zwanego Systemu Hubal/Hubal, który po ucieczce płk. Kuklińskiego do USA zastąpił tabele kodowe AX, gdyż zachodziła obawa, że Amerykanie dostali klucz do rozkodowywania meldunków, w 56 Kompanii Specjalnej stosowano dodatkowe hasła umowne, dotyczące osiągniętych rubieży i realizowanych celów. Po przebierance w mało rzucające się w oczy ubrania cywilne, grupy podzielone na pary przedzierały się w kierunku Trójmiasta.

„Ryba wyszła z sieci”... a w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie, ruszając w kierunku Trójmiasta pakowali się do sieci o gęstych okach. Biorąc wszystko na zdrowy rozsądek, operacja nie miała szans powodzenia. Doborowe siły przeciwdywersyjne złożone z komponentów Wojsk Obrony Wewnętrznej, Milicji Obywatelskiej wspieranej przez swoje służby pomocnicze, Straży Ochrony Kolei, pododdziałów 7 Dywizji Obrony Wybrzeża a wzdłuż granicy, wzmocnione Wojskami Ochrony Pogranicza, nie tylko miały rozpracowany

rejon desantowania ale również składy osobowe grup działających na poszczególnych kierunkach. Ściganci wiedzieli również, że punktem działania z morza będzie rejon Białogóry i Mechlinek. Gdy pierwsi komandosi dotknęli ziemi, wszystkie drogi dojazdowe i szlaki kolejowe były już zablokowane. Przekonał się o tym działający w rzucie lądowym elitarny zespół z Heniem Włostowskim, złożony w całości z zawodowców. Starzy wyjadacze dali dupy na dzień dobry, w niespełna godzinę po skoku spadochronowym. W ostrym jeszcze wówczas kryzysie, szczególnie w niedzielę, mało kto jeździł. Sześciu chłopca z wypchanymi torbami... Gliniarze namierzili ich na pustej szosie, w chwilę po tym jak zaczęli łąpać samochody na stopa.

Etatową grupą Kupsa dowodził chorąży Paweł Wyrwał, drugą, por. Leszka Domachowskiego, chor. Wiesiek Zapor. Przemykając parami, żołnierze nie zdążyli się na czas pozbierać w punkcie kontaktowym. Połączyli się dopiero w drugim terminie, na przystanku trolejbusowym w Gdyni. Od czasu desantowania minęło już ponad 10 godzin. Około osiemnastej, do zatłoczonej knajpy w Alei Świętojańskiej wszedł, jakby się dziś powiedziało, spoko koleś, za nim czujnie wśliznął się drugi. Pierwszy, ubezpieczony przez partnera, podszedł do baru i złożył barmanowi dość oryginalne zamówienie: „Setkę białej z odrobiną słodkiego pieprzu”. Kups gustował w finezyjnych hasełkach, w Prostyni uczestnik obozu Combat 56 pytał barmankę o prezerwatywy o smaku malinowym. W chwilę potem agent podjechał ciężarówką. Błyskawicznie wrzucili skrzynie ze sprzętem i wskoczyli za nimi na pakę.

#### Mielony nurek

W porcie wojennym od wielu godzin trwał stan pogotowia. Wzmocniono zarówno ochronę płotu, jak i jednostek pływających. Od nadbrzeża, bez dokładnej kontroli nie mogła odbić nawet szalupa ratunkowa. W bramie wartownicy po dwa razy oglądali przepustki, nawet własnym przełożonym. Od dawna nikt tu nie ogłaszał stanu zagrożenia działaniami dywersyjnymi.

Na dwie godziny przed północą ciężarówka minęła bramę i zatrzymała się na nabrzeżu, niemal przy burcie jednego z kutrów patrolowych. Plandeka uniosła się, a grupa ubranych na roboczo marynarzy śpiesznie przerzuciła ładunek na jednostkę. Przybysze, razem z załogą zniknęli pod podkładem. Wprawdzie, w pierwszej wersji ćwiczyli planowane wychodzenie z luków torpedowych okrętów podwodnych ale powstały problemy, coś się tam zacinęło, więc kierownictwo ćwiczenia zdecydowało się na niewielki ale szybki K-5.

I jak to zwykle bywa w wielkim zamieszaniu, około północy, nie zatrzymywani przez nikogo, na bezczelnego wymknęli się w morze. Gdy ogłoszono alarm, szli już pełną mocą poza zasięgiem wzroku, nie mieli jednakże szans schowania się przed radarami. Wopiści bardzo szybko zauważyli na ekranach, że w strefę wychodzi nie zgłoszona jednostka i natychmiast wypuścili w pogoń kuter patrolowy. Gdy K-5 zrobił pętlę, byli już pewni, że wysadził grupy specjalne. Pościg trwał ponad godzinę. Jednostkę zatrzymano, i po przeszukaniu zawrócono do portu. Ponieważ na pokładzie nie było żywego ducha poza załogą, morze od Helu do Stegny zaroilo się patrolami. Rozpoczęto przeczesywanie akwenu.

Arek Kups był wówczas na pokładzie kutra: - Wszystko szło na bojowo, bez żadnego ubezpieczenia, bez łączności. Wysadziłem ich o 24.00 a o tym że szczęśliwie wylądowali, cali i zdrowi, dowiedziałem się o godzinie 13.00, gdy wysłali meldunek. Dlatego do tych

paru dni akcji przygotowaliśmy się pół roku. Jeszcze w ostatniej chwili, jeden ze spanikowanych przełożonych z okręgu, pancerny płk W. chciał zatrzymać rozpędzającą się maszynę. Szczęściem, nie było wówczas telefonów komórkowych.

Ludzi z 56 KS kuter wyrzucił pod Mechelinkami, Formozę zaś z drugiej strony półwyspu, w rejonie Białej Góry. Azymut desantowania z wybranego wcześniej rejonu wynosił 40.00 stopni. Gumowe zasobniki kryły w swoim wnętrzu broń i sprzęt na najbliższe cztery doby. Najważniejsza była hermetyczność R-354 - radiostacji dużej mocy. Meldunek, po zakodowaniu i zaszyfrowaniu specjalnym kluczem, наносzony był na taśmę fotograficzną w formie dziurek i wysyłany z wielką szybkością. Czas całego seansu nie przekraczał dwóch minut. W centrach łączności ten błyskawiczny przekaz nagrywano, następnie odtwarzano z kilkakrotnie mniejszą prędkością, uzyskując słyszalność poszczególnych znaków cyfrowych. Uzyskiwano wówczas łączność na odległość do 3000 km, a w służbach wywiadu na jeszcze większych dystansach.

Zgodnie z normą, żeby zaliczyć wejście do działań, potrzebowali złapać dystans czterech mil morskich od brzegu. Każda grupa holowała po trzy wytrzymałe na zerową pływalność gumowe zasobniki towarowe, w nich broń, łączność, mundury polowe... wszystko. Nic nie mogło wystawać z wody, radar bowiem był w stanie wyłapać łabędzia jak i wystający z wody tyłek komandosa. Fala spora, półmetrowa, wystarczała żeby płynącym płytko ale w zestawach abc ludziom zbierało się na rzyganie. W sumie gra polegała na tym - jak wysadzisz nos to cię namierzą, jeśli się zbyt płytko zanurzysz, któryś ze ścigantów zrobi z ciebie mielony przejeżdżając śrubą po plecach a pójdziesz głębiej, zapłaczesz się we wszechobecne sieci rybackie. A gdybyś się przy tym wszystkim sypnął w nawigacji, bo wszystko wokół czarne i rozkołysane, i popłynął w morze zamiast do brzegu, to wprawdzie w pianie nie utoniesz ale fala wyniesie cię w morze i zdechniesz z zimna i głodu. W takich działaniach nie ma asekuracji, nie ma też możliwości odzyskania grupy, jest tylko woda, woda, woda i świecące punkty na busoli.

#### Gierkowska jądrowka

Zalesione obszary w okolicach Mechelinek i wąski pas plaży dawały dużą szansę na przeniknięcie z morza w bardziej bezpieczną strefę. Szarym świtem, po blisko pięciu godzinach GSP zbliżyła się do brzegu. Płetwonurkowie zmienili szyk z klina, układając na płyciźnie wachlarz ułatwiający obserwację. Wkrótce grupa wyszła z wody. W tym momencie rozpoczyna się szczegółowy opis historyjki, która oczywiście nie miała prawa się wydarzyć. Każdy z uczestników wydarzenia inaczej opisuje reakcję kochającej się parki na widok kilku facetów w czerni wychodzących w morza. Na plaży, o tej porze!!! Kolesz z panienką? Nie lubią jak się podważa wiarygodność tych opowieści: Facet, co ty wiesz o miłości? Jedyne rozsądne zdanie usłyszałem jednakże od gościa, którego tam nie było: Przecież musieliby oboje skasować albo z powrotem wracać wpław przez Bałtyk. A więc, wprowadziwszy w stan najwyższej euforii parkę, sami musieli z plaży ostro wymiatać. Po kilku kilometrach marszu ukryli pianki i ważące po sześć kilo ołowiane pasy, bez których tyłek wystawałby zdradziecko ponad wodę.

Grupa płetwonurków 56 KS dość szybko opuściła zagrożone Oksywie i dotarła poza strefę rojąca się od patroli. Korzystając z porannego szczytu komunikacyjnego i gęstej sieci połączeń, dotarli kolejną do stacji Nadole. A tam, na końcowej stacji, teren był obstawiony

milicją i wojskiem. Szczęściem siły przeciwdywersyjne zastosowały wariant blokady zewnętrznej dworca, skupiając się na drobiazgowej kontroli ludzi wychodzących z peronu. Skrupulatne legitymowanie młodych mężczyzn pozwoliło na ucieczkę. Jedni rzucili się do pobliskiego lasu, drudzy dokonali szybkiej przesiadki, i pojechali... z powrotem.

Blokada dworca spowodowała spóźnienie na kontakt z agentem. Wariant zapasowy w przydrożnej kaplicy zadziałał, otrzymali namiary na schowek ze środkami dywersji. Do rury spuszczałej wodę mógł wjechać samochód ciężarowy, wszystko było tu ogromne i nikt by nie przydziwiał potrzebnej do zburzenia ilości materiału niszczącego. Stosunkowo czułymi punktami były moduły mocujące i otwierające, oraz sam system sterowania znajdujący się poniżej zbiornika.

Elektrownia atomowa w Żarnowcu, nadzieja i oczko w głowie ówczesnej gospodarki energetycznej. Wprawdzie nie było tam jeszcze reaktora ale funkcjonowała, czynna do dziś część szczytowo-pompowa. Cel był trudny, do ochrony i obrony zmobilizowano siły z 7 Dywizji Obrony Wybrzeża, Wojska Obrony Wewnętrznej oraz sporo milicji. Podejście w odkrytym terenie wydawało się niemal niemożliwe. Ataku na tak ważny, rozległy obiekt i silnie chroniony obiekt dokonuje się z reguły większymi siłami. Tym razem, dwie grupy nie stanowiły klasycznego Zespołu Grup Specjalnych. Działy bez kontaktu ze sobą, jedynie z koordynacją czasową. Formoza wyszła z morza za Jastrzębia Górą i osiągnęła brzeg w okolicy Białogóry. Przenikając lasami osiągnęli rejon działania po 12 godzinach.

Zadaniem pierwszej grupy było rozpoznanie i zaminowanie urządzenia sterującego gigantycznymi pompami tłoczącymi nocą wodę na górę, by w dzień mogła powrócić rurami w dół przekazując turbinom energię. W każdą z tych rurek bez problemów zmieściłby się samochód. Drugi niewralgiczny punkt stanowiła zaporę na wypływającej z jeziora rzece Piaśnicy. Gdyby ktoś spuścił niej wodę, na przykład wysadzając śluzę, zatrzymałby elektrownię. Obu obiektów strzegła ochrona wzmocniona kompanią żołnierzy WOW z Gdańska.

Arek Kups opowiada o kulminacyjnym momencie ćwiczenia: - Pytamy żołnierzy na moście, czy ktoś chciał ich atakować, czy był ruch w okolicy. Skądże, przecież pilnują. Mysz nie się prześliznie, mucha nie przeleci. Skąd bidulki miały wiedzieć, że pośrodku śluzy stała już duża mina magnetyczna, zainstalowana przez Formozę. Dwa światy, grupy specjalne i „normalne” wojsko.

W drugim etapie, zadanie wykonywali pletwonurkowie z 56 KS. Stał wtedy na pomoście z majorem Kemparą, który dziś doskonale pamięta ten chłodny, mglisty ranek nad zalewem w Żarnowcu. I nerwówkę szefów: - No i co, mieli być na piątą i nie ma? A to nie jest robota z zegarkiem w rękę. Widzę, że z płycizny, z wyspy trzcinowej poderwało się ptactwo. Chłopaki weszli tam, żeby się uporządkować, zorganizować, przeprowadzić obserwację. Mówię więc, że z pewnością będą. Woda faluje dziwnie, coś się dzieje a ci stoją jakby głusi i ślepi. Ptactwo znowu z wyspy w górę. Wiem, że pletwonurkowie zrobili swoje i wrócili. Ostrzegam grzecznie: Panie pułkowniku, może zejdźmy bo to zaraz huknie. No gdzie? Jan, co ty gadasz? A tu petardy i czerwone dymy. No to tyle sobie szefowie popatrzyli.

Co dalej? Komandos, już na spokojnie przeniknęli na lotnisko do Słupska, gdzie lądował AN – 26 i poleciełi z powrotem, na Święciechów.

Po około 70 godzinach od desantu z powietrza, trzy grupy – czwarta została zlikwidowana - skrycie dotarły do stojącego na uboczu lotniska w Słupsku samolotu An-26. Po

desantowaniu na przypoligonowym Świąciechowie komandosi przystąpili do sprawdzenie normy nr. 13: Biegu na 10 kilometrów z pełnym wyposażeniem - bronią, zasobnikiem, sprzęt przeciwchemicznym. Minimalna waga obciążenia wynosiła 15 kilogramów a czas nie mógł przekroczyć 55 minut. Ten sprawdzian nazywano zdrobniale: „Czyż nie dobiega się koni?”

## 5. Ziarno od plewy

### Szczupak w stawie

Wokół Kaskad narosło tyle legend i opowiadań, że po latach trudno czasem oddzielić mity od rzeczywistości. Pikantniejsze historyjki przypisuje sobie dziś po kilka osób jednocześnie, każda w swojej wersji, a zdarzyło się również, że dramatyczną przygodę przypisywał sobie ówczesny pan porucznik, który do „speców” przyszedł w dwa lata po ostatniej Kaskadzie. Nieźle się również ubawiłem słuchając historyjki o dziennikarzu, którego w Słupsku zwinęła milicja. Zapodana wersja dalece odbiegała od autentyku i dopiero po czasie zaskoczyłem, że to właśnie o mnie chodzi. Dla wszystkiego więc, wolę zubożyć dramaturgię, przytaczając historie najbardziej wiarygodne...

Kierownictwo ćwiczenia, nie ukrywajmy, czasem brutalnie ingerowało w przebieg Kaskady. Oddaje to fragment mojej rozmowy z gen. Janem Kemparą:

JK: - Widzieliśmy, że z dnia na dzień czujność w grupach usypia, pewność siebie zamienia ćwiczenia w piknik. Puściliśmy więc do milicji przeciek z namiarami na punkt kontaktowy. Chcieliśmy by żołnierze, a szczególnie dowódcy grup poczuli porażkę na własnej skórze a inni przynajmniej to zobaczyli. Uciekający z miejsca byli łapani, bo ci gliniarze mieli pełen skwer ludzi i reagowali na każdy gwałtowny ruch. Większość naszych udawała głupków, przyglądając się spokojnie wydarzeniom. Było to bardzo pouczające doświadczenie. Wpuszczenie szczupaka do stawu zawsze dobrze robi rydom.

PB: - Szczególnie tym, które zostały pożarte? Więc zapewniam, że nie ma w tym nic przyjemnego. Jak pamiętasz, mnie pierwszego wystawiliście.

Wszystko tu było zupełnie nowym doświadczeniem i w kilku przypadkach, już na etapie przygotowań organizatorom zabrakło trochę wyobraźni. Szczególnie ludziom z dywizyjnych kompanii specjalnych, którzy na co dzień siedzieli w między „zajacowym wojskiem” i trudno im było „złapać fazę” podczas wspólnych działań z samodzielnymi jednostkami komandosów. Stanowili drugą ligę, co wcale nie znaczy, że nie potrafili podczas zawodów czy ćwiczeń przetrzepać skóry kolegom z 56 KS czy 1 BS. Niemniej, to właśnie „dywizyjni” oficerowie wysłani w marcu na rekonesans wymyślili, że idący na kontakt ma być ubrany w pelerynę. Nieźle wykombinowali... Wówczas lało a tu tymczasem maj i gorąco jak w lipcu. Nie lepsze były reklamówki w rękę, bo przy dużym sklepie, co drugi szedł z taką sama torbą. Nieźłą zabawę miał płk Włodzimierz Abramczyk, szef oddziału, gdy przyjechał do Gdyni na kontrolę. Stali na punkcie kontaktowym, i nagle mówi do Kempary: - Zobacz Jan, to nasz oficer! - Skąd pułkownik wie? - Bo jak mnie zobaczył, to tak go spięto, że o mało co honoru nie oddał.

### Rekord świata

Zagadnieniem wokół którego narosło przez lata wiele nieporozumień były bazy przejściowe. Grupa specjalna nie powinna działać zawieszona w przestrzeni. Musi mieć jakieś schronienie, schowki, zaplecze agenturalne... A więc, w myśl zasady mówiącej, że teren powinien sam się bronić, dowódcy grup wybierali miejsca na bazy niezwykle starannie. Zapadali w jakieś dziury, do których prowadziły zaplątane dróżki przez mokradła, wśród chaszczy lub walących się przy dotknięciu zmurszałych drzew. A u celu triumfalny łuk z zieleni, wejście wymoszczone jedliną, elegancja. Wewnątrz ogień, menażka z wrzątkiem na herbatę z pokrzyw lub pędów malin, czasem rożen z przyrumienionym na brązowo zwierzątkiem. Do tego stojak na broń, wieszak na ubrania, baniak z wodą... taki wypas, że gościom oczy wypadały. A wokół bazy powstawała „sistema”: bronie na linach - jak się bujnie, to wszystkie zęby w plecach, wilcze doły a do tego brzęczyki, dzwonki i miny pułapki...

Powiedzmy jednakże prawdę do końca! Specjalnością ludzi z działań specjalnych była również ściema. Czasem nikt nie miał czasu i siły pieprzyć się z tym wszystkim. Doświadczona grupa dochodziła według mapy na punkt, wybierała miejsce suche, bez robali i dobrze ukryte ale umożliwiające obserwację, przygotowywała ze dwa warianty ewentualnego odwrotu i to wszystko.

Ogień? Bawili się z zawiłymi systemami odprowadzania dymu, kanałami, kominkami. W rzeczywistości ogień był potrzebny żeby wysuszyć ciuchy, podgrzać żarcie, ugotować herbatę bo to podnosiło morale. W warunkach bojowych nie byłoby mowy o takich kombinacjach. Zdrowy pogląd w tej sprawie wyrobiłem sobie, bawiąc się termowizją podczas lotów z Nadwiślańczykami w Tatrach. Jeleń w lesie świecił jak autobus a jego świeżo postawiona kupa skrzyła niczym diament. Mogliśmy więc maskować sobie te ogniska na sto sposobów!

Arek Kups wspominał staż w Bolesławcu: - Nie stosowaliśmy wówczas baz przejściowych. Grupa wchodziła do lasu, kopała dziurę w ziemi, szalowała drągami, robiła dach i mogła dwa miesiące siedzieć. Gdy ktoś delikatnie zadrwił, strasznie się burzyli: W wy wiecie jak w takiej ziemiance jest ciepło! Działania specjalne polegały przecież na szybkiej robocie w ciągu dwóch, maksymalnie do pięciu dni. Nie można było się rozkładać w rejonie gdzie wszystko przeciwko nam się sprzysięgało.

Rekordem świata był jednakże wyczyn dywizyjnej grupy z jednostki obrony wybrzeża, dowodzonej przez chorążego... nazwijmy go Kielas. Otóż chorąży Kielas, chłopisko tyleż wielkie co nieroztropne, rozpoczął w leśnym gąszczu ze swymi ludźmi zakrojone na szeroką skalę prace inżynierskie. Mając w perspektywie spędzenie jednej a co najwyżej dwóch letnich, pogodnych nocy w lesie, kazał ryc regularną ziemiankę wystarczającą na przetrzymanie srogiej zimy.

Żółty piasek wynosili w pałatkach, prosząc po całym lesie, i wsypywali do wody. Jadący nieopodal rowerem leśniczy zobaczył, że strumykiem płynie mętna woda. Od razu wykręcił na leśniczówkę i dryndnął na milicję, że w górze musi być grupa specjalna. Doszli do miejsca, znaleźli tropy butów a potem weszło już jak w maselko. Gdy oniemiały niczym żona Lota mjr Kempara zapytał: Co pan chorąży porobił w tym lesie? Padła odpowiedź, która przeszła do historii: Bo u nas w dywizji, panie majorze, zawsze się kopie.

## Obszczymurki

„Szaman” nie raz już zwracał uwagę, że zarówno dowódcy grup jak i żołnierze nauczyli się ogrywać schematy prowadzące do zgubnej w warunkach bojowych rutyny. Na punkty kontaktowe wystawiano zazwyczaj kogoś z kierownictwa ćwiczenia, w najlepszym przypadku sierżanta przebranego za leśniczego, który czaił się natrętnie, żeby grupa przypadkiem go nie przeoczyła. Tym razem Kempara z Żołnowskim postanowili zamieszać. Na Kaskadzie agentem mógł być każdy: ksiądz, milicjant, panienska z lodziarni czy któryś z wygrzewających się w słońcu obszczymurków... Tamci dwaj stanowili ornament miejscowego folkloru. Egzotyczne egzemplarze z przekrwionymi oczkami i kilkutygodniowym zarostem. Mimo porannej godziny byli już na lekkim rauszu, więc wytłumaczenie im zasad współpracy agenturalnej i nauczenie na pamięć hasła, zabrało dobre trzy kwadransy. Wreszcie zatrzyli i Szaman uznał, że kontakt jest w miarę pewny. Na odchodne zastrzegł po raz kolejny:

- Do południa nic nie przyjmujecie, żadnych wynalazków ani piwa. A potem jak obiecałem, urządzamy wam dzień dziecka.

- Rozkaz, generale. Stara gwardia nie spęka. Będziemy Dżemsy Bondy.

Zegary wybijały południe, gdy na rynku powstało poruszenie. Zaniepokojeni ludzie z daleka pokazywali sobie coś lub kogoś, następnie gromadzili się przy skwerku. Obiekt sensacji stanowiło dwóch dżentelmenów w czarnych garniturach, białych koszulach i pod krawatami, gładko ogolonych i ze znacznej odległości pachnących „przemysławką”. Tumult wokół nich narastał, bowiem w miasteczku niemal wszyscy się znają i każda, gwałtowna odmiana w scenerii budzi sąsiedzki niepokój: Czyżby ktoś umarł? Czy może przyjechać mają jacyś nadzwyczajni goście? W zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na obserwujących zbiegowisko młodych mężczyzn, jakby lekko zdezorientowanych sytuacją.

Piotrek nie miał wątpliwości, że tych dwóch dandysów z fioletowymi nosami i umownymi gazetami pod pachami jest jego agentami. Chciał przebić się przez gromadkę tubylców, gdy zauważył miejscowego milicjanta przyglądającego się z najwyższą ciekawością a zarazem niepokojem. Porucznik doceniał żart ale do cholery, przecież teraz ani nie mógł podejść ani się wycofać. Wreszcie ruszył na bezczelnego, zagadał... W emocjach poplątali hasło ale w końcu coś im tam wyszło. W tłumie wymienił reklamówki, zostawiając im tę z umówioną flaszką, i ruszył w stronę sprawdzonej przez obstawę uliczki. To była ostanta chwila, żeby się ewakuować.